

STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE W XX WIEKU W PERSPEKTYWIE AMERYKAŃSKIEJ

Prelekcja wygłoszona 21 czerwca 2006 r. w siedzibie IPN w Warszawie

Spotkanie prowadził dyrektor Biura Edukacji Publicznej, dr hab. Jan Żaryn. Po prelekcji miała miejsce krótka, ale ożywiona dyskusja, w której wzięli udział pracownicy IPN. Na zakończenie spotkania odbyła się promocja periodyku „Glaukopis”, podejmującego m.in. kwestię relacji polsko-żydowskich. Opracowując zapis wystąpienia, redakcja nie ingerowała w niesztampowy i osobisty styl narracji.

Jest mi bardzo miło, że mimo pięknej pogody zechcieli Państwo schronić się tutaj i posłuchać moich refleksji. Temat jest nie tylko kontrowersyjny, lecz nawet deprymujący, jeżeli weźmiemy pod uwagę wyłącznie aspekt intelektualny zagadnienia. Mam na myśli laboratorium kulturowe, w którym – szczególnie od lat sześćdziesiątych – nabrał kształtu i panoszy się szczególnie żarłoczny paradygmat propagujący szokujące stereotypy dotyczące Polski i Polaków. Paradygmat ten – szerząc fałszywe koncepcje – leży u podstaw znakomitej większości konfliktów polsko-żydowskich w czasach obecnych. Paradygmat ten – zgodnie z taktem werbla zachodniego radykalizmu – postmodernistycznie odrzuca istnienie prawdy oraz empiryczną metodę naukową. Zamiast tego zakłada *a priori* i zbiorowo „polską winę” w każdym konflikcie – kolektywnym i indywidualnym – między Polakami i Żydami. Paradygmat ten głosi też zbiorową odpowiedzialność „Polaków” za Holocaust. Te szokujące tezy bezwzględnie zapanowały zarówno w obiegu intelektualnym, jak i w kulturze masowej.

Prywatnie

Ale wolałbym rozmawiać o pozytywach. W związku z tym chciałbym powiedzieć parę słów o tym, jak relacje polsko-żydowskie funkcjonują w sferze prywatnej, a jak na forum publicznym. Sferę prywatną zwykle się pomija. Jak wiadomo, występują tu czasem konflikty, lecz jeśli przybierają poważne rozmiary – szybko się kończą, gdyż zwaśnione jednostki albo przebaczą sobie, albo przestają ze sobą obcować. Ci spośród Polaków i Żydów, którzy utrzymują bliskie, serdeczne więzi, mogą owe przyjacielskie związki ekstrapolować. Przypominam sobie historię rodzinną córki płk. „Bohuna”¹, która wyszła za mąż za żydowskiego lekarza w New Jersey. Jednym z efektów tego mariażu była – pierwsza zapewne w amerykańskiej prasie – pozytywna wzmianka o Brygadzie Świętokrzyskiej, napisana przez żydow-

¹ Antoni Skarbek (1902–1992), przybrane nazwiska Antoni Szacki, Antoni Dąbrowski, ps. „Bohun”, dowódca Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych w latach 1945–1946; od 1956 r. w Stanach Zjednoczonych.

skiego autora. W gazecie „The Jewish Voice”, ukazującej się w New Jersey, opisano zdobycie przez Brygadę obozu koncentracyjnego Holiszów na Morawach i wyzwolenie więźniarek, w tym wielu Żydówek. Skąd taki artykuł? Sąsiedzi tego polsko-żydowskiego małżeństwa zainteresowali się historią rodziny i opublikowali przyczynek o nietypowym teściu lekarza. Podobnym, pozytywnym przykładem jest małżeństwo z Ohio – siostry porucznika „Ragnera”² z amerykańskim Żydem. Hugh i Halina Thurnauer siedzieli długo ze mną u wspólnego znajomego Eugeniusza Bąka, Sybiraka, rozmawiając o Kresach, dwóch wrogach – Hitlerze i Stalinie, oraz o stosunkach między żydowskimi uciekinierami a polską partyzantką niepodległościową. W miłej atmosferze można było dojść do porozumienia, wysłuchać racji wszystkich stron. Rozmowy takie zwykle nie mają sensu w środowisku intelektualnym zarażonym dekonstrukcją. Tam bowiem jedna strona zastępuje przygotowanie merytoryczne wyznawaniem postmodernistycznego paradygmatu. Dogmat zamiast badań.

Unikajmy więc myślenia według klucza etno-religijnego. Częstość bowiem owe żydowskie korzenie znajomych czy przyjaciół – szczególnie wśród dzieci i młodzieży – nie odgrywają poważniejszej roli, gdyż w wymieszanym społeczeństwie amerykańskim ludzie często ignorują pochodzenie etno-religijne i kulturowe innych, zanika też tożsamość w obrębie samych rodzin. Oto garść przykładów dotyczących spraw żydowskich z Kalifornii, gdzie mieszkałem w młodości. Raz poznałem bliżej córkę rabiną, która prawie nic nie wiedziała o judaizmie. Rabinem – reformowanym – była jej matka. Pamiętam też panią Lee Gruhn z San Francisco, która urzędowała bożonarodzeniowe kolędowanie w wiktoriańskiej oprawie, a była Żydówką. Nic jej to nie przeszkadzało, bo tradycja amerykańskich protestantów łączyła się u Lee z umiłowaniem śpiewu (a wykonawcami były gwiazdy i gwiazdki opery z San Francisco, odpowiednio ubrane na tę okazję). Zresztą specjalnie dla pani Gruhn i jej gości wykonywałem z kolegą ułańskie żurawiejki w jej rezydencji w Pacific Heights. Akompaniowała nam pianistka jazzowa, Gini Wilson, której przodkiem był generał Israel Putnam, bohater Wojny o Niepodległość. Taki eklektyzm był dla mnie kalifornijską normą, przypominającą w pewnym sensie I Rzeczpospolitą.

Na poziomie indywidualnym wyjątkowo rzadko, jak sądzę, dochodzi do jakichś scysji czy nieporozumień na tle narodowościowym bądź religijnym. Ale wyjątki – właśnie dlatego, że są tak dziwne – pamięta się. Kiedyś moja siostra przyszła do przyjaciółki, profesor literatury na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, Nancy Ruttenburg, pochodzenia żydowskiego. Odwiedzała ją właśnie matka z Nowego Jorku. Na powitanie starsza pani – która z Polski wyjechała jako dziecko przed wojną – chwyciła moją siostrę za rękę i mówi: „Czy rodzice powiedzieli ci, jak Polacy mordowali Żydów w czasie II wojny światowej?”. Moja siostra zdębiała. Nancy też. Być może właśnie w Nowym Jorku czy Chicago, gdzie trwają o wiele silniejsze więzi na podłożu etnicznym czy wyznaniowym, takie środowiskowe spięcia zdarzają się częściej. W Kalifornii jednak ich nigdy nie spotkałem. W formie zupełnie już anegdotycznej wspomnę o mym starszym znajomym, zmarłym niedawno Józefie Erlichu. Zawsze sypał jak z rękawa różnymi życiowymi historiami. Ta dotyczy – jak byśmy dziś powiedzieli – czynnej napaści na tle etno-religijnym, gdy pan Erlich był nastolatkiem: „W Zakopanem kiedyś mnie miejscowi chrześcijanie pobili, dostałem w łeb. Ale było fajnie – na śniegu zna-

² Czesław Zajączkowski, dowódca IV Batalionu 77. pp Okręgu Nowogródzkiego AK, ok. 10 VII 1944 r., po wejściu Sowietów, przekazał batalion kpt. Mieczysławowi Szczerskiemu „Szczerbicowi” i w okolicach Lidy dowodził do 8 XII 1944 r. Zgrupowaniem Południe. Okrążony przez wojska NKWD, poległ wraz z kolegami w walce w okolicach Wierzbowa.

laży mnie prostytutki, opatrzyły i w ten sposób spędziłem miło czas w domu publicznym”. Czyli nawet traumatyczne przeżycie można pamiętać na wesoło.

Zresztą pozytywy na poziomie prywatnym nie ograniczają się do Kalifornii. Pamiętam także słowa żydowskiego przyjaciela z Nowego Jorku, Bretta Olshera: „Polacy i Żydzi tyle wycierpieli podczas II wojny światowej, to znaczy, że muszą się lubić, bo mieli tyle ze sobą wspólnego”. Ale Olsher czyta konserwatywny „The National Review”, liberalny „The Wall Street Journal”, a nie tę lewacką gadzinówkę „The New York Times” (albo „The New York TASS” – jak przezywali ją konserwatyści do rozpadu Sowietów). Jest przedsiębiorcą, zajmuje się przede wszystkim robieniem pieniędzy, więc posiada praktyczne podejście do życia, zupełnie inne niż światek intelektualny. Brett Olsher wyciąga logiczne wnioski, jest bowiem wrażliwy na ludzkie cierpienia, a nie na zadekretowane odgórnie politycznie poprawne dogmaty.

Podobnie było wśród przyjaciół i kolegów z konserwatywnego i liberalnego towarzystwa dyskusyjnego im. Edmunda Burke’a (The Ancient and Honourable Edmund Burke Society) przy The University of Chicago Law School, którego jestem członkiem. Nigdy nie słyszałem żadnych „postępowych” czy politycznie poprawnych enuncjacji od uczestników debat, a wśród nich również pochodzenia żydowskiego. Co więcej, gdy chciałem dowiedzieć się czegoś uznanego w sferze publicznej za „kontrowersyjne” na temat społeczności czy religii żydowskiej, po prostu pytałem bez owijania w bawełnę. Pamiętam, że w sprawach teologicznych najpełniejszych odpowiedzi udzielał Keith Sharfman. Mówiło się, że jest „poważnym Żydem” (*a serious Jew*), nie zsekularyzowanym.

Tyle o sferze prywatnej przez pryzmat doświadczeń własnych, anegdotek, zaobserwowanych, doznanych, zebranych przez ćwierć wieku życia w USA.

Publicznie

Sfera publiczna jednak rządzi się własnymi prawami. Ma na nią wpływ – o wiele większy niż na relacje prywatne – laboratorium intelektualne kultury wraz ze swoim postmodernistycznym paradygmatem. Ta zależność widoczna jest szczególnie wśród amerykańskiej Polonii, problemy jak w soczewce skupiają się zaś w Kongresie Polonii Amerykańskiej. Szefem KPA był dobrze znany w Polsce Ed (Edward) Moskal, sprawny przedsiębiorca, dobry polityk-samorządowiec szczebla lokalnego, lubiany w swoim środowisku. Członkowie KPA to przecież w większości ludzie prości, w dobrym tego słowa znaczeniu, a Moskal jako szef nigdy nie wyszedł w uprawianiu polityki poza szczebel „dzielnicy” (*ward*). Jego język był prosty i zrozumiały, taki, jakiego używa się na ulicy w Chicago. To bardzo podobało się tzw. starej Polonii, ale i części tej nowej, która przybyła do Stanów po II wojnie światowej i później, za czasów „Solidarności” czy we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Polonusom odpowiadało, że Ed „stawia się”. Dlaczego? Dlatego, że intelektualna elita Polonii odcięła się od swego „ludu” i nie chce mieć z nim nic wspólnego. Niektórzy „intelektualiści” uważają za wstydlive kontakty z prostymi ludźmi. Ponadto intelektualna część Polonii jest zasymilowana. Elita to albo świeżo przybyli inteligenci z PRL, albo Amerykanie z trzeciego czy czwartego pokolenia, którzy wcale nie czują tak silnego związku ze środowiskiem polonijnym, z Polską i polskością. A tu zjawił się prosty człowiek, Amerykanin z dziada pradziada, który gadał „prosto z mostu”, i to językiem, jaki można usłyszeć na Milwaukee, wśród naszych Polonusów. To im się podobało.

Moskal jednak, myślę, przesadził, jego bezkompromisowość wpłynęła zaś negatywnie na stosunki polsko-żydowskie. Chodzi tutaj o całą serię wypowiedzi. W końcu sytuacja zaogniła się do tego stopnia, że nawet jego najzagorzalsi zwolennicy stracili cierpliwość. W czasie

jednej z ostatnich kampanii wyborczych zraził wielu potencjalnych wyborców Partii Demokratycznej. Wyglądało na to, że do Kongresu wejdzie bez problemu miejscowa demokratka Nancy Kaszak. Tymczasem Moskal w wywiadzie telewizyjnym zaczął narzekać na Żydów – szczególnie na głównego konkurenta Kaszak Rahma Emanuela – co oczywiście było szalenie niepoprawne. Przecież między demokratami Kaszak i Emanuelem nie było większych różnic politycznych, jednak Moskalowi nie podobało się, że Emanuel to człowiek z zewnątrz, przywieziony „w teczce” z Waszyngtonu, a nie swój chłopak z „dzielnicy”. Kaszak przegrała, zrobiła się wielka awantura, a Moskal został *persona non grata* w środowiskach publicznych i intelektualnych. Owa izolacja KPA, konflikt ze światem polityki i organizacjami żydowskimi trwa do pewnego stopnia nadal, m.in. dlatego, że po śmierci Moskala wybory w Kongresie Polonii wygrał, namaszczony przez niego, Frank Spula, pochodzący z podobnego środowiska. Co dalej będzie z Kongresem – Bóg jeden raczy wiedzieć. Jeśli nawet nastąpi pokoleniowa zmiana warty, to trudno spodziewać się kogoś, kto będzie w stanie dyplomatycznie odnieść się do obowiązującego postmodernistycznego paradygmatu w sferze publicznej.

Co prawda, mieliśmy także swoich polonijnych intelektualistów, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdy działały „dinozaury”, na przykład śp. profesor Marian Kamil Dziewanowski, Oskar Halecki i inni. Ci umieli polemizować z intelektualistami żydowskimi po partnersku, ponadto istniały polsko-żydowskie przyjaźnie wśród elity, wywodzące się jeszcze sprzed wojny, żyli także intelektualiści polscy pochodzenia żydowskiego, tacy jak Józef Lichten czy profesor Wiktor Weintraub. W konsekwencji spory polsko-żydowskie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych właściwie nie wychodziły poza środowiska inteligencji polonijnej i polsko-żydowskiej na szersze obszary kultury amerykańskiej. Rozwiązywano je w swoim kręgu. Działo się tak również dlatego, że amerykańskiej elity takie sprawy jak Holocaust w tamtych czasach nie interesowały. Obecnie prawdziwy dialog uczonych nie istnieje, a w środowisku polonijnej elity na zarzuty strony żydowskiej odpowiada się albo przytakiwaniem na kolanach, albo łagodzeniem antypolskich enuncjacji. Ten drugi wariant najlepiej, choć bardzo delikatnie, wdrażają w życie profesorowie Zbigniew Brzeziński czy Piotr Wandycz. Paradoksalnie, najbardziej wyrazistą osobą odnoszącą się do paradygmatu jest Norman Davies, którego wykładów słuchałem jeszcze w Stanford. Bawią go podobne polemiki, lubi pisać o tym, co jest kontrowersyjne, lecz w sposób błyskotliwy i wesoły. I nie lubi klęczeć przed nikim. Przytakiwanie – które jest postawą dominującą wśród polonijnej elity – powoduje, że nie istnieje konfrontacja merytoryczna, na argumenty. Jest właściwie tylko ekspiacja (nie oparta na żadnych poważnych badaniach) albo ostracyzm czy wręcz napiętnowanie znamieniem antysemityzmu, co w USA w tej chwili oznacza śmierć cywilną.

Istnieją co prawda organizacje polonijne, które zajmują się dialogiem ze stroną żydowską, na przykład nowa organizacja Dzieci Chrześcijańskich Ofiar Zagłady (The Children of the Christian Holocaust Survivors), utworzona na wzór żydowskich Dzieci Ofiar Zagłady. Już sama nazwa wywołała kontrowersje, czy bowiem chrześcijanin może nazwać się ofiarą Zagłady bądź dzieckiem ofiar Zagłady? Żyją jednak dzieci tych spośród Polaków, którzy przeżyli obozy śmierci, obozy koncentracyjne czy na przykład Powstanie Warszawskie. I ci Amerykanie polskiego pochodzenia chcieli znaleźć dla siebie jakiś wspólny mianownik, wyróżnik spośród naszej Polonii. Istnieje także Polsko-Amerykański Komitet Żydowski (Polish-American Jewish Committee), którego zadni członkowie spotykają się dwa razy do roku, są wśród nich pan Billauer ze strony żydowskiej, ze strony polskiej profesor Ted Radziłowski, Amerykanin w trzecim pokoleniu, podobnie Charles Chotkowski czy Don Binkowski, osoby przecież niewiele mające wspólnego z dzisiejszą Polską. Sędzia Binkowski pytał mnie nawet nie-

dawno, dlaczego Polacy mają obsesję na punkcie Jałty – przecież zabory były gorsze. Dlaczego? Po prostu w jego domu rodzinnym okres zaborów funkcjonował jako – znane z doświadczenia – zło absolutne.

Wracając do spraw polsko-żydowskich, oczywiście istnieją wyspecjalizowane instytucje, zajmujące się między innymi tą tematyką, na przykład Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, które ma bardzo dobre stosunki z Żydowskim Instytutem Historycznym w Warszawie. Sam jestem członkiem Amerykańskiej Rady do Spraw Upamiętnienia Zagłady (US Holocaust Memorial Council), z nominacji prezydenta USA, w tej chwili jako bodaj jedyny chrześcijanin. Celem Rady jest wspieranie inicjatyw historycznych, szukamy sponsorów, ludzi, którym Pan Bóg pobłogosławił, a którzy chcą coś ofiarować na znaczne cele. Rada organizowała pomoc w tworzeniu Muzeum Historii Żydów Polskich, ale i też powstającego w Warszawie Muzeum Historii Polski.

Czyli lokalne i ogólnoamerykańskie instytucje polonijne i żydowskie w rozmaity sposób starają się odnajdować w rzeczywistości USA. Polonusi raczej starają się dostosować do parametrów nakreślonych przez stronę żydowską, a kiedy próbują się z tych narzuconych norm wyłamać, robią to raczej niezgrabnie, na wzór poprzedniego przywództwa Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Przenieśmy się teraz na teren wielkiej polityki. Mimo postmodernistycznego paradygmatu i tarć w sferze publicznej, w zakresie polityki międzynarodowej *image* Polski w Stanach jest znakomity, do czego przyczynił się udział Polaków w koalicji w Iraku, akcja Polski na Ukrainie w obronie „pomarańczowej rewolucji”, a przede wszystkim stałe, bardzo dobre relacje z państwem Izrael od 1989 r., co doceniają nie tylko Biały Dom czy Departamenty Stanu i Obrony, ale także – choć bez zbytnich fanfar zewnętrznych – środowiska Żydów amerykańskich.

Jaka jest więc percepcja Polski w kulturze USA, jeśli chodzi o sprawy polsko-żydowskie? Powracam do tego zagadnienia, gdyż, w jakimś sensie, percepcja jest ważniejsza od prawdy. „Jak cię widzą...”, mniej liczy się, kim jesteśmy, bardziej – jak nas opisują. W polityce i kulturze nie istota zjawisk, lecz ich postrzeganie przez zbiorowość zdaje się najważniejsze. Podam dwa charakterystyczne przykłady dotyczące obrazu Polski w zakresie nas interesującym.

W czerwcu 2006 dziennikarz „The Washington Post” (zwany przez konserwatystów „The Washington Compost”) napisał, że wszyscy milczeli podczas Zagłady Żydów: milczał ojciec Kolbe, jak mordowano Żydów, nie pomagał. Zresztą był bigotem, uprzedzonym do Żydów antysemitą. I milczał Pius XII, też antysemita. Milczała cała polska milicja, Służba Bezpieczeństwa i wojsko, gdy doszło do pogromu Żydów w Kielcach w 1946 r. Moja koleżanka, profesor Juliana Geran Pilon, odpowiedziała listem do redakcji, że rzeczywiście milczenie jest złotem i dobrze by było, jakby zamilkł ten dziennikarz, który nie wie, o czym mówi. Co chcę zasignalizować? Autor owego artykułu jest z przekonania tzw. lewakiem. Moja koleżanka – konserwatystką. Oboje zaś są pochodzenia żydowskiego. Istniejąca różnica ma więc podłoże światopoglądowe, ideowe, a nie religijne czy narodowe.

Inny wstępniak ukazał się również w tym czasie w „The New York Times”. Autor pisał, że obecny rząd polski jest „homofobiczny”, podobnie Prezydent RP, nacjonalistyczny, ksenofobiczny, ultrakatolicki, na dodatek antysemita, gdyż w Polsce pobito rabina. Odpowiedział na owe zarzuty... warszawski rabin, pisząc w stylu: „odczepcie się od polskiego rządu”. I to był głos ważony, głos oparty na przesłankach tradycyjnych, a nie postmodernistycznej dekonstrukcji.

Oba artykuły w dwóch najważniejszych dziennikach USA demonstrować specyficzne postrzeganie spraw polskich w Ameryce. Po pierwsze, cechuje je antykatolicyzm, czy szerzej – antychrześcijaństwo. Jak pisał konserwatywny guru William F. Buckley, „antykatolicyzm

jest antysemityzmem intelektualistów”. Jest to ostatnie dopuszczalne publicznie uprzedzenie w USA. Taka ohydna dyskryminacja pozostaje bez związku z żydowskim stanowiskiem religijnym. Natomiast jest to bezpośrednio związane z toczącymi się obecnie w prasie amerykańskiej „wojnami kulturowymi”.

Po drugie, dostrzec można wyraźnie uderzenie w tradycyjne, konserwatywne opcje na scenie polskiej. Lewicowych komentatorów, piszących podobnie o społeczeństwie amerykańskim, drażni wszelki tradycjonalizm, konserwatyzm (również w wersji żydowskiej). Natomiast bardzo sprytnie – niczym politycy w latach dwudziestych i trzydziestych, którzy używali antysemityzmu, by zdobyć władzę, znaleźć wspólny język z ludem – lewicowi dyktatorzy intelektualnej mody używają teraz pseudofilosemityzmu – jako narzędzia służącego utrwaleniu zdobyczy rewolucji francuskiej, bolszewickiej czy rewolucji kulturowo-seksualnej w Stanach Zjednoczonych lat sześćdziesiątych.

W ramach takiego dyskursu nawiązuje się do spraw polskich. Dlaczego? Otóż lewicowcy nagminnie atakują wszystko co religijne, tradycjonalistyczne, konserwatywne w społeczeństwie amerykańskim. Jednak strzelając w USA, mają mniejsze pole do popisu, nielewaccy naukowcy amerykańscy bowiem natychmiast fachowo odpowiadają na takie wyzwania. W merytorycznych polemikach na temat USA lewicowcy przegrywają. W związku z tym pojawiła się potrzeba znalezienia chłopca do bicia w innym miejscu. Lewacy w USA dostrzegli, że gdy poruszają temat Polski – krytykując chrześcijaństwo, patriotyzm i inne wartości tradycyjne – ich konserwatywni amerykańscy przeciwnicy milczą, bo nic nie wiedzą o Polsce i jej historii. Czasami jest nawet gorzej. Wyważeni i solidni zwykle konserwatywni naukowcy czy komentatorzy amerykańscy automatycznie przyłączają się do lewackich nagonek na Polskę. Widać to szczególnie wtedy, gdy akcje te prowadzone są w formie walki z „polskim antysemityzmem”. Chodzi o to, aby taktycznie podkreślić, że konserwatyści (a nawet centryści) nie mają z takimi uprzedzeniami nic wspólnego, a wręcz je potępiają. Taką postawę zaprezentował na przykład George Will w czasie „debaty” o Jedwabnem w USA. Mało który komentator konserwatywny dostrzegł (chwalebny publiczny wyjątkiem jest tu George Weigel), że tak naprawdę nie chodziło o Polskę i Polaków, lecz o prawdy uniwersalne, które znalazły się pod postmodernistycznym obstrzałem.

Polska, jako taka, jest w istocie mało ważna, jako mały kraj, słaby militarnie i gospodarczo. Służy ona za pretekst do atakowania nie tyle konserwatystów amerykańskich, ile raczej zachodnich wartości tradycyjnych. Gdy bowiem nie można bezpośrednio zaatakować rodaków, mówi się wtedy: „O! Zobaczcie, jacy Polacy – chrześcijanie, tradycjonałiści – byli ohydni. A to są ludzie, którzy wyznają takie same wartości jak nasi amerykańscy konserwatyści”. Media, które przecież są liberalne, lewicowe, tworzą efekt naczyń połączonych – kto nie popiera słuźbów homoseksualnych, jest homofobem. I jakby automatycznie – „przy okazji” – podkreśla się rozmaite prawdziwe i wymyślone konflikty polsko-żydowskie, przez co otrzymujemy obraz „antysemickich Polaków”. Polacy w tym układzie funkcjonują jako symboliczna kwintesencja „reakcji”, bigoterii, zaściankowości, braku tolerancji, modelowego pogrążenia się społeczności monoetnicznej w oparach nacjonalistycznej ksenofobii. Nikt nie chce być taki jak Polacy.

I tu wracamy do początku naszego wykładu. Kalkę ohydnie uprzedzonego stereotypu tworzą przede wszystkim intelektualne środowiska uniwersyteckie. Pomocne zaś w tym są nowe prądy metodologiczne w historii, takie jak postmodernizm, dekonstrukcja, New Historicism czy odzyskana pamięć (*recovered memories*), podejście psychoanalityczne do źródeł i relacji. Dywagacje i wygibasy intelektualne zastępują w nich pracę empiryczną i arystotelesowsko-tomistyczny logocentryzm.

Zagłada

Za przykład weźmy kwestię Zagłady. W latach czterdziestych niewiele osób na amerykańskich uniwersytetach miało ochotę słuchać o tragedii Żydów. Podobnie było w naukowych środowiskach polonijnych. Istniał już co prawda Polski Instytut Naukowy (The Polish Institute of Arts and Sciences of America, PIASA) i „The Polish Review”, wychodziły „Zeszyty Historyczne”, ale raczej nie podejmowano podobnej tematyki. Koncentrowano się głównie na sprawach polityki zagranicznej – przedwojennej, wojennej i powojennej. Jednocześnie w środowiskach emigracyjnych, mimo posiadanych źródeł, bardzo ostrożnie podchodzono do sprawy ich publikacji, a to ze względu na możliwe reperkusje w Kraju. Gdy na początku lat pięćdziesiątych w paryskiej „Kulturze” odbyła się debata na temat Narodowych Sił Zbrojnych, jeden z polemistów oświadczył, że nie może przedstawić pełnej argumentacji, gdyż tym samym wydałby żyjących w Polsce kolegów w ręce UB. Był to więc rodzaj autocenzury. Po prostu tak długo jak Polska była w niewoli, nie można było całościowo omawiać żadnego z kontrowersyjnych tematów.

Uparta zaś w swych staraniach była diaspora żydowska. Zagłada stanowiła przecież dla niej najbardziej traumatyczne wydarzenie XX wieku, zarazem jedną z największych masakr, jakie spotkały ludzkość. Co więcej, publikacje żydowskie od początku ukazywały się po angielsku, polonijne zaś – bardzo rzadko. Ponadto strona polonijna nie wypracowała własnej szkoły metodologicznej dla badań dziejów mniejszości narodowych. Znani uczeni, tacy jak Halecki czy Dziewanowski, pozostawili po sobie wielkie syntezy, dzieła na wysokim poziomie, lecz brakowało mikrostudiów. Tymczasem w Kraju było jeszcze gorzej. Skonstruowana na sowiecką modłę Polska Akademia Nauk trwała w uśpieniu. Mało aktywne były uniwersyteckie wydziały historii. Żydowski Instytut Historyczny przez pół wieku istnienia nie wyprodukował prawie nic wiekopomnego o Zagładzie Żydów oraz międzywojennych i powojennych relacjach polsko-żydowskich. Szczególnie razi brak mikrohistorii albo opracowania – choćby do szuflady – tematów kontrowersyjnych, takich jak szmalcownictwo. Na wszystkim zaważył brak wolności słowa i badań, komunistyczny totalitaryzm oraz sowiecka okupacja Polski od 1944 do 1989 r. Rezultatem tego wszystkiego była nieobecność Polski w dyskursie Zachodu, a jaskrawym przykładem jest stan badań stosunków polsko-żydowskich.

Wobec zaniedbań z okresu PRL ze strony polskiej, polonijnej oraz oficjalnej żydowskiej, w nauce amerykańskiej wyodrębnił się i obowiązuje do dziś swego rodzaju konsensus w sprawie relacji polsko-żydowskich. Konsensus jest oparty na bardzo niekompletnej bazie źródłowej, odzwierciedla głównie wysiłki diaspor żydowskiej zmierzającej do upamiętnienia Zagłady. W ramach tego konsensusu najnowsza historia Polski w skrócie wygląda następująco: lata 1918–1921 – pogromy; lata 1918–1939 – dalej pogromy, getto ławkowe, prześladowania; lata 1939–1945 – współudział polskich chrześcijan w Zagładzie; lata 1945–1947 – wyzwolenie przez Sowieców i ponowna fala antysemityzmu, pogromy, prześladowania przez polskich chrześcijan Żydów, których bronili tylko komuniści; lata 1945–1989 – słupy milowe w najnowszej historii Polski – to demonstracje polskiego antysemityzmu (szczególnie w okresie kryzysów 1956 i 1968). To jest szkielet specyficznej percepcji dziejów Polski, który dopuszcza co najwyżej pewne modyfikacje. W rezultacie na przykład w monografii autorstwa Marcii Shore możemy przeczytać o intelektualistach żydowskich – marksistach, którzy chcieli dobrze dla ludzkości, ucałowali się subtelnie z utopią, a ich sympatyczna przygoda-huśtawka z komunizmem skończyła się prześladowaniem przez polskich antysemitów w 1968 r. Z bezkresnego morza polskiej podłości wyłaniają się jedynie nieliczni sprawiedliwi, na przykład Jan Błoński czy dzisiejsi sympatycy Jana Tomasza Grossa, którego tezy o Polsce i Polakach w latach 1939–1947, o Jedwabnem i Kielcach, ustanowiły swego rodzaju dyktat.

Nawet wtedy, kiedy mamy do czynienia z pewną dozą wysiłku badawczego, wyniki dopasowuje się do istniejącego paradygmatu postmodernistycznego. Paradygmat ten oparty jest na tezie o wyjątkowości Zagłady. Z jednej strony teza ta do dużego stopnia jest uprawniona ze względu na charakter rzezi (eksterminacja ludzi metodą przemysłową), zasięg (wszystkie okupowane przez III Rzeszę ziemie, a nawet niektóre państwa neutralne) oraz ideologię (dialektyczna, „nordycka” walka ras i klas ożeniona z przekonaniem o wszechobecnym spisku żydowsko-kapitalistycznym, kolektywistycznie demonizującym Żydów jako zbiorowość). Z drugiej strony Zagłada Żydów była jedną z wielu masakr XX wieku: poczynając od rzezi Ormian, przez ludobójstwo Lenina, Stalina, Mao, Pol Pota, Ho Szi Mina oraz innych komunistów, aż do ludobójstwa w Rwandzie i Darfurze. Każdy z tych mordów był nietuzinkowy; każdy był wyjątkowy. Łączą je tylko nienawiść i fanatyzm ideologiczny sprawców. Teza o zupełnej wyjątkowości Zagłady ma więc swoje słabe punkty. Była to jedna z rzezi czasów nowoczesnych i wcale nie największa.

Kto jednak dokonał Zagłady? Polacy? Katolicy? Sprawcami byli narodowi socjaliści niemieccy, poganie żyjący w XX wieku w centrum Europy. Podobnie jak sowieccy międzynarodowi socjaliści, którzy zdecydowali się zerwać z korzeniami chrześcijańskimi, z tradycją europejską. Niestety, intelektualny paradygmat obowiązujący w USA coraz częściej gubi niemiecką narodowość narodowych socjalistów. Uwypukla za to rzekomo prominentną rolę Polaków w Zagładzie. Podkreślmy: Polaków kolektywnie opisywanych jako nacja. Tutaj „Polak” i „antysemita” są praktycznie synonimami.

W ramach tego szablonu uczestników i świadków II wojny światowej dzieli się na trzy grupy – sprawców, obserwatorów i ofiary. Tymi ostatnimi, ofiarami Holokaustu, mogą być tylko Żydzi. Jest to do pewnego stopnia logiczne. Ale przecież obok Żydów także chrześcijanie byli ofiarami eksterminacji. W ramach paradygmatu inni – czyli „nie-Żydzi”, jak się obecnie pisze – mogą być tylko sprawcami albo obserwatorami (robi się wyjątek dla homoseksualistów, których traktuje się z wielkim nabożeństwem, w nieuprawniony sposób niemal zrównując ich jako ofiary z Żydami). Ponieważ z punktu widzenia dominującego paradygmatu Zagłada jest nieporównywalna do innych wydarzeń, nie zwraca się właściwie uwagi na doświadczenia innych narodów. Albo bada się te doświadczenia przez ograniczający pryzmat Zagłady, podporządkowując jej dynamice dziejowej inne przecież mechanizmy historii pozostałych członków rodzaju ludzkiego. Dotyczy to również periodyzacji czy interpretacji takich pojęć jak „wolność” czy „wyzwolenie”.

W rezultacie – na przykład – wejście Sowietów do Polski w latach 1944–1945 sprowadza się do „wyzwolenia spod okupacji niemieckiej”. W ramach obowiązującego w USA paradygmatu intelektualnego takie „wyzwolenie” ma charakter totalny. Nie dostrzega się, że było ono dla Polaków, chrześcijan, ponownym zniewoleniem, tym razem przez drugiego wroga, sowiecką Rosję. Jest to do zaaprobowania jedynie dla tych, którzy wierzą, że Stalin przyniósł do Polski wolność. A to jest zupełny nonsens.

Brak zgody na taką interpretację dziejów powoduje, że spór o historię polsko-żydowską będzie trwał. Co więcej, konflikt się zaostrzy, jako że paradygmat stworzony w intelektualnych kręgach lewicy nie tylko obowiązuje w Ameryce Północnej i Europie Zachodniej, ale również należy do dobrego tonu w wielu liberalnych środowiskach intelektualnych na całym świecie. Wielu lewicowych intelektualistów chce zabłysnąć postmodernistycznym konceptem. Mało kto z nich zainteresowany jest żmudnymi badaniami źródłowymi, kwerendami archiwalnymi. Rzetelna dyskusja naukowa oparta na arystotelesowsko-tomistycznym pojęciu prawdy ich nie interesuje. Samo odniesienie się do prawdy wywołuje ironizujący, post-

modernistyczny uśmieszek dekonstrukcji. Ten intelektualny trend już od jakiegoś czasu zdomował się w Polsce. Wśród zsekularyzowanych elit tubylczych zapewne zdobędzie pozycję dominującą. Wśród tradycjonalistycznych elit polskich – na pewno nie.

Na zakończenie chciałbym podkreślić, że efekty większości prac w IPN są w odniesieniu do dzisiejszego tematu bardzo pozytywne. Cieszę się, że od niedawna zapanowała w tym Instytucie większa tolerancja, otwarcie na różne punkty widzenia i środowiska. Mam przede wszystkim nadzieję, że młodzi badacze zajmą się stosunkami polsko-żydowskimi inaczej niż ich starsi koledzy, którzy w większości bezkrytycznie przejęli ów intelektualny wzorzec dominujący na Zachodzie, stanowiący w istocie konstrukcję antynaukową. Chciałbym Państwa prosić o jak największą liczbę publikacji, które mogą być tłumaczone na język angielski. Apeluję o jak najszersze stosowanie internetu do popularyzacji wyników badań historyków i archiwistów IPN. Proszę również pamiętać, że to, co Państwo odnajdują w archiwach i opracowują, ma zupełnie kluczowe znaczenie, abyśmy mogli – w sferze prywatnej – przekonać jak najwięcej naszych przyjaciół i znajomych w USA, a wśród nich też wielu Żydów, którym radykalizm postmodernistycznego paradygmatu zupełnie nie odpowiada i którzy o tym piszą i mówią na forum publicznym. Owoce pracy IPN są niezbędne także po to, aby skutecznie rzucić wyzwanie dekonstrukcji i innym intelektualnym fanaberiom omamiającym wielu przedstawicieli elity Stanów Zjednoczonych i – niestety – niektóre tuzy elity polskiej.

Bardzo Państwu dziękuję za cierpliwość.



Marek Jan Chodakiewicz – ur. w 1962 r. w Warszawie, od 1982 r. w USA. Specjalizuje się w historii Europy Środkowej i Wschodniej XIX i XX w. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wirginii i Uniwersytecie Loyoli w Los Angeles. Od 2003 r. jest profesorem historii w Institute of World Politics w Waszyngtonie (www.iwp.edu). Opublikował m.in.: *Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie, zagłada, komunizm*, Warszawa 2000; *Ejszyszki. Kulisy zająć w Ejszyszkach. Epilog stosunków polsko-żydowskich na Kresach 1944–1945. Wspomnienia – dokumenty – publicystyka*, Warszawa 2002 (Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza); *After the Holocaust. Polish-Jewish Conflict*

in the Wake of World War II, New York 2003; *Between Nazis and Soviets. Occupation Politics in Poland, 1939–1947*, Lanham 2004; *The Massacre in Jedwabne, July 10, 1941. Before, During, After*, New York–Boulder 2005.